

JANUSZ ŻARNOWSKI

Warszawa

UWAGI O KSIĄŻCE MARCINA ZAREMBY *WIELKA TRWOGA. POLSKA 1944–1947. LUDOWA REAKCJA NA KRYZYS*, KRAKÓW 2012, WYDAWNICTWO ZNAK, INSTYTUT STUDIÓW POLITYCZNYCH PAN, S. 695

„Czerwonoarmiści, sprzedajni milicjanci, dezercerzy, bandyci, setki tysięcy kalek i żebraków. To oni tworzyli prawdziwy krajobraz powojennej Polski. Marcin Zaremba zabiera czytelnika w szokującą podróż po czasie, który zniknął z pamięci Polaków. Po spustoszonej przez wojnę państwie strachu, biedy i niepewności. *Wielka Trwoga* to odarta z mitów i komunistycznych naleciałości historia pierwszych lat po II wojnie światowej”. To niepodpisany tekst z okładki książki.

„Ludzie cieszyli się z ocalenia, łączyli z rodzinami, rozkręcali własne interesy, podejmowali trud odbudowy. «Niedawno byłem w Warszawie – relacjonował swoje wrażenia z pobytu w stolicy Stefan Kisielewski. – Na gruzach ruch – jak diabli. Handel – aż huczy. Praca – wre. Humor – nie brakuje go nigdzie. Tłum tętniący życiem przewala się po ulicach – nikomu by nie przyszło do głowy na myśl, że to wszystko ludzie – pogorzelnicy, ocaleni z trudem [z] katastrofy i mieszkający w warunkach zaiste nieludzkich». Polacy świętowali i bawili się. Nastął czas karnawału”. To tekst z pierwszej strony wstępu (s. 13)<sup>1</sup>.

Czy to zdania z tej samej książki, czy chodzi o ten sam kraj i o te same czasy? Autor zaczyna od sprzeczności w obrazie ówczesnej rzeczywistości, w której, jak tu na początku książki sugeruje, mieści się i karnawał, i jego zaprzeczenie, tytułowa *Wielka Trwoga*. Tyle że karnawałowi

<sup>1</sup> W RDSG 72 ukazała się recenzja Joanny Wawrzyniak, w której omówionych zostało kilka nowych książek, a wśród nich książka Marcina Zaremby. Autorka poświęciła jednak temu opracowaniu niecałą stronę, utrzymaną w stylu sprawozdawczym. Uchwyciła związek z pracą Jana T. Grossa *Strach*, określając *Wielką Trwogę* jako „uzupełnienie i kontekstualizację” książki Grossa. Sądzę, że przyjęła z dobrodziejstwem inwentarza deklarację autora *Wielkiej Trwogi*, których bliższą analizą zajmuję się w niniejszej recenzji w trybie kontynuacji dyskusji nad omawianą książką.

poświęca dwie pierwsze strony, a potem (s. 15) przechodzi bez bliższego uzasadnienia do Wielkiej Trwogi, formuły zapożyczony od Georges'a Lefebvre'a dla określenia nastrojów na wsi francuskiej, które zapanowały w lipcu i sierpniu 1789 r. i wyładowały się w gwałtownych wydarzeniach rewolucji. Tekst z okładki nie pozostawia wątpliwości, to ma być „historia pierwszych lat po II wojnie światowej”!

To, że francuski historyk użył takiej formuły w swej pracy z 1932 r.<sup>2</sup> dla pogłosek o spisku arystokratycznym przeciw ludowi, to trochę za mało, by wprowadzać ją dla czasu i środowiska niemającego nic wspólnego z rewolucyjną *la Grande Peur*. Zdaniem recenzenta konstrukcja Wielkiej Trwogi jest dla omawianego czasu w Polsce całkowicie sztuczna i dowolna, łączy w sobie strachy, trwogi i fobie o różnym pochodzeniu i pozbawione wspólnego mianownika, które były wszakże równoważone różnymi emocjami o znaku pozytywnym, a nawet euforycznymi. Rzecz w tym, że Wielka Trwoga wypełnia 700 bez mała stron druku i przecież pod piórem autora, a nie sama przez się, awansuje na jedyną historię tych paru lat powojennych. Słabe zastrzeżenia autora niczego tu nie zmieniają. Nieprecyzyjna formuła opracowania pozwala autorowi nie brać odpowiedzialności za opis ówczesnej sytuacji, który stanowi faktycznie większą część książki. Wystarczy powołać się na strachy jako przedmiot pracy. Zresztą, czy można opisywać prawdziwe czy rzekome strachy, abstrahując od ówczesnej rzeczywistości społecznej, politycznej, gospodarczej? Pojęcie rzeczywistość jest przedmiotem dyskusji teoretycznej, podobnie jak kwestia jej dostępności dla poznania, w tym poznania historycznego. Ale nie potrzebujemy wchodzić na tak wysokie piętra teorii. Tu sprawa jest jasna, czytelnik, nawet historyk innej specjalności, przyjmuje ten opis jako odbicie rzeczywistości, o czym autor nie może nie wiedzieć. Czy zatem wolno czynić historię przedmiotem takiego postępowania?

„Wielka Trwoga” brzmi intrygująco, powstała jako określenie konkretnego wydarzenia pod piórem historyka nieznanego praktycznie współczesnemu polskiemu czytelnikowi (prócz znawców dziejów Wielkiej Rewolucji), ale można doszukać się bardziej praktycznych motywów użycia tego zwrotu przez autora omawianej książki. Francuskie słowo *la peur* można przetłumaczyć jako strach albo jako trwogę. Pierwsze z tych słów zarekwirował już Jan Tomasz Gross w swej znanej książce<sup>3</sup>, do dyspozycji pozostało więc drugie.

<sup>2</sup> G. Lefebvre, *La Grande Peur de 1789*, Paris 1932.

<sup>3</sup> J.T. Gross, *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Kraków 2008.

Autor *Wielkiej Trwogi* nie ukrywa, że motywem jej powstania była w znacznej mierze krytyczna odpowiedź na książkę i interpretację Grossa, sprowadzająca się do wytłumaczenia pogromów żydowskich z tych lat powszechną jakoby Wielką Trwogą, o charakterze szerszym niż tylko etniczny, poniekąd metafizycznym, a odpowiedzialnością za tę trwogę obarcza ówczesny reżim. Zauważmy przy tym, że w takiej perspektywie rzeczywiste dzieje tych lat zostają sprowadzone ledwie do tła życia społecznego, co powoduje daleko idące zniekształcenia obrazu, a przez to kieruje fałszywe sygnały do współczesnej świadomości historycznej. Powiedzmy to jasno jeszcze raz: tytuł i treść tej książki sugerują czytelnikowi, że istotą życia polskiego w latach 1944–1947 była jakaś Wielka Trwoga, a z kolei owa trwoga ma wyjaśnić ekscesy antysemickie, które wobec tego siłą rzeczy urastają do roli najważniejszego wydarzenia tych czasów. Ani jedno, ani drugie nie odpowiadało i nie odpowiada rzeczywistości.

Oczywiście trudno mieć do autora pretensję, że nie napisał po prostu historii tych lat, w której strachy i trwogi mogłyby otrzymać należne im miejsce. Miał prawo wziąć te strachy na warsztat jako temat swego opracowania, ale nie powinien sugerować, że stanowią one praktycznie całą historię. A tak sugeruje i tytuł, i właściwie każda z blisko 700 stron książki. Można natomiast mieć pretensję, że zbierając wszelkiego rodzaju prawdziwe czy naciągane ówczesne strachy uogólnił je i zabsolutyzował, lepiąc z nich jedną Wielką Trwogę. Tą zaś trwogą można wyjaśnić lub „wyjaśnić” prawie każde zachowanie społeczne.

Na karcie tytułowej figuruje jeszcze drugi podtytuł: *Ludowa reakcja na kryzys*. Tak jak pierwszy podtytuł, *Polska 1944–1947*, sugeruje w istocie rzeczy, że książka wyczerpuje czy prawie wyczerpuje historię tych lat, tak ten drugi wprowadza pojęcie kryzysu, na który zapewne reakcją (ludową – czyli jaką?) miał być strach. A cóż to za kryzys, o jakim autor pisze? To stan po wypędzeniu Niemców, kiedy ludzie próbowali odbudować swe życie, a odbudowywało się także – takie czy inne – państwo. Użycie takiego określenia jest wyraźnie nietrafne. Kryzys to dysfunkcja uprzednio funkcjonującej struktury, a tej struktury właśnie nie było, dopiero powstawała lub miała powstać. Inaczej każdy okres od stworzenia świata po Sąd Ostateczny można by nazwać kryzysem. W danym wypadku można zapytać, czy ludowa reakcja polegała wyłącznie na strachu, czy też praca, nauka, odbudowa rodzin, domów i miast, wędrowniki – nawet szabrownicze – na Zachód itd. itp. to również ludowa reakcja, czy też jakieś zachowania nieludowe, nie-normalne, niecodzienne, podejrzone?

Ludowe to w ujęciu autora chłopskie, redukuje on ówczesne społeczeństwo polskie do warstwy chłopskiej i niezupełnie zgodnie z rzeczywistością plagi tych czasów widzi głównie na wsi, ale taki ogląd był już nieadekwatny do rzeczywistości przed 1939 r., a cóż dopiero po wojnie.

Autor poświęcił odrębny punkt wstępu celom swego opracowania (s. 15–18). Pierwszy deklarowany cel to stworzenie panoramy strachów. *Cui bono?* Emocje nie sprowadzają się do strachów i obaw, przynajmniej u zdrowej jednostki, a obawa jest ściśle związana z obroną jakiejś cennej wartości, ma więc swą jakby odwrotną stronę w psychice, o czym tu ani słowa. Drugi deklarowany cel to opis „mentalnych i behawioralnych manifestacji strachu”. Pozostawmy to na razie bez komentarza. Trzecim celem, chyba dominującym, jest ukazanie strachów jako motywu przemocy, w szczególności – ale nie wyłącznie – wobec Żydów. Po wymienieniu tych celów autor dodaje do nich dwa motywy: pierwszy stanowi przekonanie, że emocje są nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji. To stwierdzenie, zresztą niezbyt odkrywcze, logicznie biorąc prowadzić powinno do przedstawienia całego świata emocji, bo ich różne rodzaje są powiązane i u jednostki, i u zbiorowości (jeśli przyznamy tej ostatniej swoistą osobowość, ale to już kwestia filozoficzna). Natomiast autor sztucznie wyodrębnił tylko jeden rodzaj emocji, o znaku negatywnym, co nie może prowadzić do rzetelnych ustaleń naukowych dotyczących całości życia społecznego. Drugi motyw jest szczególnie interesujący dla recenzenta, który kilkadziesiąt lat poświęcił pracy w dziedzinie historii społecznej. Autora razi nadmiar czy przewaga historii politycznej w literaturze historycznej dotyczącej lat 1944–1947, która ukazała się od 1989 r.: „gdzie są nowe prace np. o reformie rolnej, procesie demobilizacji, rewolucji w strukturze społecznej, sytuacji polskich kobiet w czasie wojny i po jej zakończeniu, sierotach i opiece społecznej, kulturze popularnej i zmianach obyczajowych wynikających z wojny”. Trudno nie podzielić tej opinii. A jednak autor nie zajął się żadną z tych kwestii, ale stworzył strukturę quasi-psychologiczną, którą wywodzi głównie z nowych realiów politycznych, w dodatku apokaliptycznie przedstawionych. Autor cytuje George’a Trevelyan, i ja go zacytuje: „Social history might be defined negatively as the history of a people with the politics left out”<sup>4</sup>. Tymczasem tu właśnie przeważa polityka, a konkretnie polityka nowej władzy, jako nie tylko tło, ale i główne źródło problemów.

---

<sup>4</sup> G.M. Trevelyan, *English Social History. A Survey of Six Centuries. Chaucer to Queen Victoria. Introduction*, London 1944, cyt. wg wydania Penguin Books, 1967, s. 9.

Na około 5 stronach autor przedstawia źródła, na jakich się oparł (s. 18 i n.). Na ich doborze zaważył w decydującej mierze przedustawny zamysł – badanie strachu u ówczesnych ludzi, przede wszystkim strachu przed władzą. Temu podporządkowane są dociekania na podstawie dzienników, pamiętników, wydanych zbiorów wspomnień i relacji. Przy każdym z tych typów autor ubolewa, że nie wykazują one strachów z powodu cenzury czy autocenzury, czyli znów z powodu strachu. Powstaje więc błędne koło, sytuację ratują nieco biuletyny cenzury korespondencji, cenzury zniesionej jednak w czerwcu 1945 r., co też tłumaczy dysproporcję między cytowanymi źródłami pochodzącymi z różnych okresów tego trzylecia, z wielką przewagą pierwszych miesięcy. Nigdzie w całej pracy autor nie próbuje uzasadnić samego konceptu *Wielkiej Trwogi*, tego rzekomo uogólnionego strachu czy lęku – czytelnik ma go przyjąć jako aksjomat, a jest to tylko założenie wstępne.

Przejdźmy więc kolejno przez poszczególne elementy tej panoramy strachu, czy może panoramy strachów, które wyczerpują spis treści (s. 7–9), nie pozostawiając miejsca dla innych elementów w książce o podtytule *Polska 1944–1947*. Pracę otwiera rozdział pt. „W labiryncie strachu”, o ambicjach metodologicznych. Nie w pełni spełnia on oczekiwania czytelnika. Autor porusza w nim wiele kwestii i omawia kilka istotnych terminów, ale żadnego do końca nie wyjaśnia i wybór tytułowej formuły książki wydaje się dowolny, jeśli pominąć użycie słowa „strach” w tytule uprzednio wydanej książki Grossa.

Czytelnik, który choćby pobieżnie zapoznał się z literaturą teoretyczną, poszukiwać będzie wyjaśnienia, czy strachy ewokowane przez autora to przejawy strachu czy lęku. Czy np. ekscesy antyżydowskie, ale i antyniemieckie, antyukraińskie, wywołane były w opinii autora bezpośrednim strachem czy autonomicznym już i zakorzenionym lękiem? Sprawa bardzo istotna, autor wydaje się widzieć tę różnicę i związane z nią problemy, ale nagle rezygnuje (s. 37), pisze, że są pokrewne i nie można ich rozróżnić. Wprowadza jeszcze termin *panika*, co zaciemnia dowodzenie, nie odnosi jej do swych generalnych wywodów, podobnie jak rozważań o pozytywnej roli strachu (a co z tym lękiem?), a także o roli strachu/lęku w genezie konfliktów etnicznych. Wreszcie pojawia się i *Trwoga*, tekst, który próbuje ją zdefiniować i odróżnić od *Strachu*, nie jest wcale przekonujący, w jednym miejscu autor łączy ją znów z lękiem (s. 46), później definiuje, powołując się na tłumaczenie dzieła Jeana Delumeau *Strach w kulturze Zachodu* (*Peur en Occident*). Francuski autor pisze w oryginale o strachu, nie o trwodze (po francusku raczej *terreur*, *angoisse*). Zresztą

i Lefebvre, o czym już była mowa, określił temat swego opracowania jako *La Grande Peur*, „Wielki Strach”, co powtarza tytuł angielskiego przekładu dzieła tego historyka, na który powołuje się autor<sup>5</sup>. W końcu autor stwierdza, że Trwoga wynika z tradycji badawczej (jakiej?) i odnosi się do społeczeństw chłopskich (przykłady: Francja przedrewolucyjna, rabacja galicyjska, pogromy takie jak w Jedwabnem). Ale przecież większość tej książki nie dzieje się wcale w środowisku chłopskim – tematy podrozdziałów to bezrobotni, spekulanci, szabrownicy, kwaterunek – gdzie tu społeczeństwo chłopskie? Wywody teoretyczne nie są więc mocną stroną książki.

Jak na historyka przystało, Marcin Zaremba zaczyna od doświadczenia poprzednich epok, i na pierwszy ogień idzie okres międzywojenny. Tu autor całkowicie arbitralnie ogranicza się do wyróżnienia strachu przed komunizmem i chimery żydokomuny, którą jakoś w dziwny sposób utożsamia ze strachem czy z niego wywodzi. Poświęciłem niemało czasu badaniu społeczeństwa międzywojennego i z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że znacznie bardziej powszechne i dolegliwe były wówczas inne strachy i obawy niż wyróżnione przez autora. Obawy ogniskowały się przede wszystkim wokół spraw bytowych. Były też strefy społeczne o niskim stopniu stabilizacji, a więc z natury rzeczy „lękogenne” przy czym rozszerzały się one w zależności od koniunktury gospodarczej. Bez porównania więcej obaw budziło bezrobocie i niepewność jutra, a lęk przed bolszewizmem po wojnie 1920 r. mógł spędzać sen z powiek raczej niewielkim grupom politycznym i policyjnym. „Bolszewickie piekło”, tytułowe dla jednego rozdziałów (s. 53–70), w którym autor sięga aż do Custine’a *Lettres de Russie* z 1839 r. i do różnorodnej literatury antybolszewickiej z lat 20. (z jednej strony broszurki propagandowe z lat 1919–1921, z drugiej *Pozoga* Zofii Kossak-Szczuckiej), przez większość okresu międzywojennego nie miało szerszego znaczenia jako źródło strachu. Komunizm miał w niektórych środowiskach robotniczych, narodowościowych i salonowych określone, dziś całkowicie przemilczane wpływy. „Żydokomuna” to termin typowy dla propagandy endeckiej i oenerowskiej, hasło bojowe, a nie czynnik strachu. Nie ma to wszystko wiele wspólnego w ogóle ze strachami, a tym bardziej z późniejszymi strachami z lat 1944–1947, opisywanymi przez autora w tej książce.

Ale przede wszystkim trzeba stanowczo zakwestionować obraz społeczeństwa, którego głównym motorem działania są strachy, obawy, lęki. One oczywiście zawsze istnieją, ale stanowią tylko fragment życia

---

<sup>5</sup> G. Lefebvre, *The Great Fear of 1789*, New York 1989.

uczuciowego i mentalności. Chyba że rozpatruje się jakąś patologiczną populację z domu obłąkanych albo z obozu koncentracyjnego czy więzienia. Skupienie uwagi na wymienionych dwóch rodzajach strachów wskazuje raz jeszcze, że książka, w której powołuje się mnóstwo informacji źródłowych, stanowi raczej dramat o znanym z góry zakończeniu, w którym skumulowane strachy mają tłumaczyć jeden wybrany rodzaj zachowań zbiorowych, pogromy czy inne ekscesy na tle etnicznym, a pozostałe problemy społeczne pozostają poza polem widzenia.

Kolejny rozdział przywołuje strachy czy traumę z czasów II wojny światowej. Autor nie przywiązuje, jak widać z lektury rozdziału teoretycznego, nadmiernego znaczenia do precyzji pojęć, którymi operuje. Trauma to uraz psychiczny powstały pod wpływem gwałtownego wydarzenia, szoku. Lata II wojny światowej nie szczędziły społeczeństwu polskiemu takich przeżyć. Ale autor przecież szuka strachów (lęków?), trauma może powodować lęki (raczej lęki niż strachy), ale nie jest równoznaczna ani z lękiem, ani tym bardziej ze strachem, a więc z postawami regresywnymi, trauma może wytworzyć również tendencje czy zachowania ekspansywne, i właśnie takie zachowania składają się na pogromy, napady, przemoc, ekscesy. Deklarowana rola strachów tu się nie potwierdza.

Dla porządku i informacji wymienię określenia opisanych przez autora źródeł traury: wszechobecność śmierci (s. 93), bieda (s. 96), dezintegracja i atomizacja (s. 98), rozpad świata instytucji (s. 99), deformacja dotychczasowej hierarchii stratyfikacyjnej (s. 103); wskazane „objawy traumy”: strach (s. 106), agresja (s. 112), wojenny styl życia, w tym alkoholizm (chyba raczej nadużywanie alkoholu); wreszcie „konsekwencje kulturowe”: wzrost religijności (s. 119), myślenie magiczne (s. 120), „dymorfizm wartości”, „kultura cynizmu”, „kultura manipulacji” (? – J.Ż.), antysemityzm. Na chwilę pojawia się tu rola rodziny w czasie wojny i okupacji, ale autor tylko sygnalizuje problem (s. 126), a to wielka szkoda, bo ten ostatni temat w szerszym ujęciu byłby niezwykle ciekawy i analiza mogłaby wytłumaczyć wiele późniejszych zjawisk.

Niezależnie jednak od tych rozważań jest rzeczą oczywistą, że II wojna światowa i związane z tym czasem okropności przyniosły wielkie straty materialne i moralne, spowodowały załamanie kariery życiowej niezliczonych jednostek, utratę dorobku milionów rodzin, rozchwianie więzi wspólnotowych, zjawiska dezintegracji społecznej i anonii. Z tymi stwierdzeniami trudno polemizować i oczywiście nie miałyby to sensu. Rzecz w tym, że autor nie widzi w tych latach niczego poza traumą, nie widzi zwłaszcza zdumiewającej umiejętności przystosowania się społeczeństwa i jego poszczególnych grup do pozornie

niemożliwych do zniesienia warunków, nie widzi nowych struktur i więzi społecznych, nie widzi polskiego „survivalu” okupacyjnego i tego, który rozwinął się w latach 1944–1989, a wreszcie i dziś jest obecny. Ten czynnik był oczywiście jak najszerzej widoczny w latach 1944–1947, ale o tym nie znajdziemy tu ani słowa. Cały rozdział o II wojnie światowej, gdzie zresztą autor co chwila wkracza w okres powojenny, to utrzymane w tonie elegijnym wyliczanie nieszczęść i bied, w którym nie zawsze można doszukać się oceny realnych konsekwencji społecznych. Prawie co drugie zdanie budzi wątpliwości, a narracja ma charakter przesadny w stosunku do stwierdzalnej rzeczywistości. Spośród niezliczonych wątków ograniczę się do tezy, że lepszą część Polski i Polaków wojna zniszczyła, a reżim oparł się na tej gorszej Polsce, ludowej, prostej, niewykształconej i katolickiej. Tak dosłownie czytamy na s. 96: „W wojennych migracjach i eksterminacjach, na polach bitew zginęła «Polska A», wykształcona, opiniotwórcza, urzędnicza, której bliskie były wartości i symbole II Rzeczypospolitej”. Prawda, że warstwa wykształcona poniosła wielkie straty, ale na dowód tego autor przytacza opinię, iż w 1945 r. pozostało 60–70 tys. osób z wyższym wykształceniem, a Kerstenowa twierdzi (przywołanie na s. 96, przyp. 24), że tylko 65 tys. Tu powołam się na moją własną książkę o inteligencji polskiej, wydaną co prawda bardzo dawno, bo w 1964 r., w której dokonuję szacunku liczby osób z wyższym wykształceniem w początkach lat 30. na 85 tys.<sup>6</sup> Jeśli wziąć pod uwagę, że w 1945 r. ludność Polski liczyła około 24 mln, a w 1931 około 32 mln, to tej inteligencji zachowałoby się i tak podejrzanie dużo, jeśli jeszcze pamiętać o rzezi Żydów posiadających wyższe wykształcenie (choć ta grupa miała większe szanse ocalenia). Oczywiście brakowało wówczas (tj. po wojnie) kadr, o czym można by snuć opowieści i powtarzać dowcipy i facecje wówczas powstałe a zapamiętane przez żyjących w tych latach, jak niżej podpisany, ale do tezy autora tu zacytowanej daleko stąd jak do Marsa. Owszem, „Londyniszczę”, by użyć jako symbolu tytułu książki Stanisława Cata-Mackiewicza, złożone w dużej mierze z przedwojennych ministrów, wojewodów i starostów oraz ich otoczenia, uważało się za jedyną polską inteligencję, ale była to pretensja bez pokrycia.

Tak można by analizować i inne wątki traum opisanych w tym rozdziale, ale zajęłoby to nieproporcjonalnie wiele miejsca. Nie brak tu spostrzeżeń słusznych obok wątpliwych, ujęcie tego gigantycznego

---

<sup>6</sup> J. Żarnowski, *Struktura społeczna inteligencji w Polsce w latach 1918–1939*, Warszawa 1964, s. 151. Liczba absolwentów szkół wyższych zwiększyła się z pewnością do 1939 r. Zob. „Mały Rocznik Statystyczny” 1939, s. 334.



tematu na niewielu stronicach druku musi budzić obawy dowolności i powierzchowności. Ale w końcu jeszcze nie doszliśmy do właściwego tematu pracy, to jest tylko jeden z rozdziałów wstępnych.

Tekst dotyczący deklarowanego okresu objętego narracją otwiera wstęp zatytułowany „Na początku był chaos”. W sposób wzorcowy ujawnia się w nim wymieniony już wyżej grzech podstawowy tego opracowania, a mianowicie odcedzenie z rzeczywistości starannie wybranych patologicznych i negatywnych obrazów przy całkowitym ignorowaniu choćby ich tła, nie mówiąc już o obiektywnym i zrównoważonym obrazie rzeczywistości, w którym musiałoby się oczywiście znaleźć pokaźne miejsce dla rzeczy smutnych, a nawet okropnych. Na początku tego okresu dominowała wśród społeczeństwa tendencja do odtworzenia dawnego i stworzenia nieistniejącego dotąd czy skrajnie zaburzonego życia indywidualnego, rodzinnego, środowiskowego, zawodowego, wreszcie komunalnego.

W tych latach obok strachów, a może przed strachami, były ważne dla społeczeństwa, ale przez to choćby częściowo dla władzy, takie zasadnicze sprawy jak:

– Nade wszystko możliwość afirmacji narodowej, a mówiąc prosto: mówienia po polsku, chodzenia do szkoły i na uniwersytet, wszędzie wiszące flagi, co potem milicja starała się ograniczyć do świąt. Słuchanie radia, dla większości społeczeństwa niedostępnego przez 5 lat. Chodzenie do kina, do teatru, na koncerty, na operę i operetkę, czytanie książek i gazet dla większości przez 5 lat niedostępne. To dla autora, piszącego wiele o emocjach, których jacyś inni nie uwzględniają (s. 16), nie istnieje.

– Odbudowa życia indywidualnego i rodzinnego, elementarne potrzeby materialne, mieszkaniowe, zaopatrzeniowe.

– Powrót setek tysięcy, a nawet milionów wygnanych przez Niemców z Warthegau, w tym z Łodzi/Litzmannstadt, ze Śląska, z Pomorza, wysiedlonych z terenów wojskowych zajętych przez Wehrmacht i dla celów kolonizacyjnych (jak Zamojszczyzna). Ludzie ci wracali z dziur, w których umieścili ich Niemcy, do własnych miast, wsi i mieszkań, jeśli te się zachowały.

– Oczywiście też przyjazd przesiedleńców ze Wschodu.

– Na porządku dziennym było także poszukiwanie członków rodzin, zawleczonych na Wschód i na Zachód albo zaginionych. O tym i o dręczącej wówczas trosce i obawie o ich losy autor w ogóle nie pisze.

– Powrót do zawodu, do nauki, do planów życiowych i rodzinnych wobec utraty i upływu lat – tego też nie zauważył, choć i tu można wykoncypować strach, np. przed pozostaniem na marginesie społecznym i bez kwalifikacji.

– Tworzenie tkanki społecznej. Do tego służyły wysiłki instytucji, w tym samorządów, ale i autentyczna działalność społeczna, wtedy jeszcze możliwa na szeroką skalę, wysyp stowarzyszeń najróżniejszego rodzaju. Potem, po 1948 r., większość tych inicjatyw zamiera, ale tu mowa o okresie swobodnie przecież wybranym przez autora.

– Odbudowa i tworzenie zakładów pracy, zwłaszcza w dużych zakładach, gdzie wiele rzeczy działo się spontanicznie. Jest mnóstwo świadectw o tym, jak robotnicy przy przejściu frontu siedzą w zakładzie i bronią go, i przed zniszczeniem, i przed rozgrabieniem, tego autor w ogóle nie zauważył. Mógłby też podciągnąć to zjawisko pod jakiś strach, pewno przed bezrobociem.

– Wreszcie liczne własne, pozytywne, negatywne i obojętne inicjatywy, w końcu cały ten szaber na Zachodzie to wyraz pewnej inicjatywy, której nie mogło wtedy nie być, a nie jakiegoś strachu.

Tego wszystkiego tu nie ma albo prawie nie ma, nie ma też innych zagadnień ówczesnych, takich jak reforma rolna (jest tylko o zwracaniu przydziałów przez chłopów w Poznańskim), polityka gospodarcza i przemysłowa, Ziemie Zachodnie („tzw. Ziemie Odzyskane”), Plan 3-letni, bitwa o handel – to autora nie interesuje. Ale to interesowało ówczesnych Polaków, poddanych podobno strachom i Wielkiej Trwodze, co dla oceny sytuacji powinno chyba mieć jakieś znaczenie.

O niektórych z tych kwestii autor pisze w paru zdaniach w jednym z kolejnych rozdziałów. Większość ówczesnych ludzi nie miała czasu się bać, chcieli oni żyć, i to żyć w Polsce. W rzeczywistości w latach 1944–1947 nastąpiło coś odwrotnego do twierdzeń autora, nadszpiewanie szybkie odbudowywanie życia, owszem, utrudniane z czasem, i to coraz bardziej, przez posunięcia ideologiczne, ale nie żadna trwoga.

Zacytuję tu syntetyczne ujęcie lat 1944–1947 pod piórem historyka niepodejrzewanego o sprzyjanie reżimowi:

[...] administracja rządowa, centralna i terytorialna wypełniały normalne funkcje organizatorskie. Milicja zwalczała przestępstwa pospolite, niesłychanie rozplenione, jak to często bywa po zakończeniu wojny. Prowadzona była niezwykle energicznie odbudowa gospodarki. Wiele sił i środków materialnych poświęcano osadnictwu i zagospodarowywaniu ziem zachodnich oraz bałtyckich portów. Z trudem, lecz opanowano powojenny chaos gospodarczy, pogłębiany masowymi migracjami i rabunkową gospodarką Armii Czerwonej, która dawne ziemie niemieckie traktowała jako terytoria podbite. Wysiłkiem kadry inżynierskiej i robotników uruchamiano kolejne fabryki. Szkoły wszystkich typów pospiesznie wznawiały naukę. Podejmowały działalność wyższe uczelnie. W osłabionym kadrowo i nie dysponującym niezbędnymi środkami lecznictwie prowadzono masowe szczepienia

i przystapiono do zdecydowanej walki z wojennymi plagami – gruźlicą i chorobami wenerycznymi. Podjęte zostały próby zrównoważenia budżetu państwa i opanowania rynku pieniężnego. [...]

To, co działo się w Polsce, pod wieloma względami było podobne do sytuacji w krajach zachodnioeuropejskich. Tam także występowały braki w aprowizacji, rynki były ogołocone z produktów codziennego użytku, szalała inflacja, trwało rozliczanie się z wojenną i okupacyjną przeszłością<sup>7</sup>.

Początkowo proklamowana „demokracja ludowa” nawiązywała werbalnie i w nazewnictwie do dawnych instytucji i sugerowała tym powrót do normalnego (a więc przedwojennego, choć z poprawkami) życia, którego wszyscy pragnęli. To był okres, gdy ludzie poszli do pracy w fabrykach ocalonych bardzo często wysiłkiem pracowników, gdy dzieci poszły do szkół w całym kraju, także tam, gdzie okupant zlikwidował nawet szkoły powszechne, gdy otwarto gimnazja, gdy ruszyły uniwersytety, które – jak w Warszawie – odgruzowywali i porządkowali profesoria i asystenci. Dotyczy to i znanego autorowi gmachu IH UW. W tym wszystkim był wielki wysiłek Polaków – autor wypowiadający się często i zdecydowanie o tym, co myśleli i co czuli Polacy, tego wszystkiego zupełnie nie zauważył. Prawda, że to nie bardzo pasuje do *Wielkiej Trwogi*.

Natomiast obraz grabieży, gwałtów i niebezpieczeństw, związanych przede wszystkim z przemarszem i przebywaniem w Polsce Armii Czerwonej, ale także z przemieszczeniami frontów, przemarszami wojsk, w tym i polskich, z innymi sprawcami rabunków i gwałtów, nie wymaga większych korekt, zwrócę tylko uwagę na ogromne różnice regionalne. Zjawiska prawie nieobecne w największych miastach centralnej Polski wyglądały zupełnie inaczej na ziemiach ponemieckich, początkowo traktowanych przez czerwonoarmistów jako niemieckie (w tym były i części przedwojennej Polski, np. Pomorze, Śląsk) i pozbawionych zwartej polskiej ludności. Źródła, na których autor się w tym rozdziale opiera, nie wykraczają z reguły poza wczesną jesień 1945 r. Tak więc tego strachu nie można odnosić do lat późniejszych, a wytworzone wtedy lęki nie były chyba mimo wszystko w skali całego społeczeństwa istotnym elementem *Wielkiej Trwogi*. O tym można jednak dyskutować. Warto natomiast odnotować mnożenie strachów następującą metodą (s. 191): o starciach tłumu i milicji z żołnierzami sowieckimi autor ma 3 informacje, ale „można przypuszczać”, że było ich mnóstwo!

---

<sup>7</sup> A. Paczkowski, *Pół wieku dziejów Polski, 1939–1989*, Warszawa 1995, s. 169–170.

Kolejny rozdział to „Ludzie z demobilu”. Tu mogę odwołać się do początku niniejszego tekstu, bo w gruncie rzeczy główny problem jest wspólny dla wszystkich rozdziałów. Czy ludzie wykolejeni to „prawdziwy krajobraz powojennej Polski”, jak czytamy na okładce, czy też robotnicy, rolnicy, studenci i uczniowie, urzędnicy, aktorzy, muzycy, sędziowie, adwokaci, żołnierze... uff, po prostu ludzie żyjący normalnie, o ile to było w ówczesnych warunkach możliwe i o ile słowo „normalny” coś oznaczało – stanowili rzeczywistą ośnowę tego krajobrazu. Zabieg autora polega na sztucznym połączeniu różnych kategorii ludzi żyjących stale czy przejściowo na marginesie normalnego społeczeństwa, których liczba oczywiście po straszliwej wojnie była znacznie większa niż w czasach pokojowych... ale uwaga, do tych marginalnych zaliczył np. nadwyżkę ludności rolniczej, tzw. zbędnych, których przed wojną liczono w milionach (szacując ich na od 2 do aż – z przesadą – 8), ale których liczba z powodu reformy rolnej i osadnictwa „na tzw. Ziemiach Odzyskanych” właśnie zaczęła się zmniejszać. A przecież ci „zbędni” także przed wojną nie stanowili jakiegoś stałego czy mobilnego ogniska przemocy, byli po prostu wtopieni w ciężką wiejską rzeczywistość, bo nie wiadomo, czy to Maciek, czy jego brat Stasiek należał do „zbędnych”. To się przecież przez kilka lat wojny nie tak bardzo zmieniło. Tych ludzi zaliczyć do demobilu to zabieg naprawdę niezwykły.

Do demobilu zaliczono też bezrobotnych, których po zniszczeniu aparatu wytwórczego było sporo, i tu autor nie dokonuje żadnego odkrycia, ale po pierwsze, ich perspektywy wobec ruszania i odbudowy gospodarki nie były najgorsze, a po drugie, widocznie przedwojenni bezrobotni, których liczba w latach 30. szła w setki tysięcy i więcej, też należeli do demobilu? Zobaczmy, nawiasem mówiąc, jak autor łączy bezrobocie z rzekomą Wielką Trwogą. „Skoro bezrobocie było faktem społecznym, to bardzo prawdopodobne, że zjawisku towarzyszył również lęk przed nim” (s. 243). Pozostawię taki zabieg bez komentarza.

Przy każdej z wymienionych kategorii ludzi z demobilu można snuć takie całkiem swobodne rozważania. Autor wita czytelnika na początku rozdziału wywodami erudycyjnymi, cytując na przykład, co na temat „ludzi luźnych” z XVIII w. pisała Nina Assorodobraj, przez „ludzi zbędnych w służbie przemocy” spod pióra Stefana Czarnowskiego, który miał na myśli zupełnie inny problem i inne środowisko, a nawet z przywołaniem Bronisława Geremka z jego marginesem społecznym w średniowiecznym Paryżu. Trudno po prostu dyskutować z takimi zabiegami, które, jak już wspomniano, służą skonstruowa-

niu pewnego bytu z niespójnych i należących do odmiennych porządków elementów, wśród których wymieniono jeszcze żebraków, złych milicjantów (a byli w ogóle dobrzy?) i spekulantów. W tym ostatnim wypadku autor nie gardzi wykorzystaniem propagandy urzędowej, przy pomocy której ten i nie tylko ten reżim usprawiedliwiał trudności zaopatrzeniowe. W ten sposób *per fas et nefas* buduje się obsesyjną Wielką Trwogę.

Następny rozdział poświęcony został szabrowi i szabrownikom. Sam przez się stanowi odrębną całość i był już odrębnie publikowany. Niezależnie od stosunku do zawartych w nim twierdzeń nie należy zapominać o temacie całego opracowania – Wielkiej Trwodze. Co ma ona wspólnego z ekspansywnym duchem szabru? Nic zupełnie. Autor chyba stara się ratować spójność tekstu, powołując się na gorączkę szabru i zaczyna ten rozdział następująco: „Latem 1945 r. Polacy żyli szabrem” (s. 270). Twierdzenie tyleż śmiałe, ile nieuzasadnione i jawnie przesadne. Także i gorączka to jawne przeciwieństwo Wielkiej Trwogi, czyli głównego założenia książki. W samej treści tego rozdziału znajdujemy różne bardziej albo mniej trafne spostrzeżenia i ilustracje samego zjawiska szabru, które zasługuje oczywiście na rozpoznanie naukowe. Natomiast nie wpisuje się ono zupełnie w koncepcję Wielkiej Trwogi. Na plan pierwszy wysuwa się oczywisty i historycznie niezliczoną liczbę razy spotykany rabunek pozostawionego bez ochrony mienia w momentach katastrof i wojennych, i naturalnych czy technicznych. Bywa on notowany tak w najbardziej „cywilizowanych” społeczeństwach współczesnych, jak i w prymitywnych krajach postkolonialnych. Przypomnijmy tylko trzy epizody: *New York Blackout 1977* (krótkie spięcie i brak prądu w Nowym Jorku w lipcu 1977 r.) i huragan Katrina w Nowym Orleanie z 2005 r., które spowodowały masowe rabunki, włamania i inne przestępstwa, oraz atak terrorystyczny na centrum handlowe w Nairobi we wrześniu 2013 r., gdy „ratownicy” z policji i wojska sami rabowali zawartość sklepów. W warunkach ówczesnej Polski, która miała objąć ziemię aż po Odrę, wystąpienie szabru było nieuniknione. Nie widzę uzasadnienia dla łączenia go ze społecznie zabarwionymi grabieżami pańskich dworów w czasie czy to rabacji, czy innych podobnych ruchów na wsi. W ogóle nie lokowałbym ówczesnego szabru w tradycjach chłopskich. Idąc do Warszawy z Milanówka dwa dni po wypędzeniu Niemców w styczniu 1945 r., widziałem szabrowników wlokących ostatnie już porcje zdobyczy, był to typowy „element” podmiejski z tego terenu. By cofnąć się w czasie do lat 1940–1942, szabier mienia żydowskiego rozgrywał się w większości (nie w całości, oczywiście) w miastach.

Rozdział następny poświęcono b a n d y t y z m o w i, zdefiniowanemu jako „Chłopska wojna upadłych żołnierzy”. Teoretyczne rozważania o bandytyzmie (s. 319 i nast., z przywołaniem *Bandits* Erica Hobsbawma<sup>8</sup>) nie mają praktycznie związku z problematyką powojennego bandytyzmu. Nie warto nawet nikogo przekonywać, że wojny, zmiany władzy, przemarsze wojsk, wraz z łatwością dostępu do broni zaostrzają groźbę bandytyzmu i że ludzie nim zagrożeni czują obawę. Tak też było w 1945 r. i nieco później. Tu mamy do czynienia nie tylko ze s t r a c h a m i, ale i z rzeczywistymi obawami. Autor zauważył nawet bandytyzm „leśny”, w wykonaniu struktur związanych uprzednio z ruchem oporu, nie wspomina tylko o tym, że znaczna część aktów bandytyzmu i przemocy przypadała na przedłużenie formacji skrajnie prawicowych i faszystujących oraz na tereny, gdzie one grasowały. A to ma choćby dla geografii s t r a c h u spore znaczenie. Czy definicja ówczesnego bandytyzmu, podana w tytule rozdziału, jest uzasadniona przez rzeczywisty wówczas stan rzeczy, nie byłbym pewien.

Niesłychanie krótko jak na wagę sprawy, bo na 13 stronach druku, załatwia się autor z naprawdę apokaliptycznym zjawiskiem tego czasu, a mianowicie z wewnętrzną i zewnętrzną wędrówką ludów, z milionowymi przemieszczeniami, powrotami i przesiedleniami Polaków. Autor, jak już wspomniano, jakby lekcewał te zjawiska, nadając swemu tekstowi pretensjonalny tytuł „Więcej niż Reisefieber”. Reisefieber to „niepokój przed podróżą” (tak tłumaczył Jerzy Broszkiewicz w tytule słynnej komedii), a więc jesteśmy tu blisko strachów i obaw, co też autor wyzyskuje w pełni. Pomija jednak emocje innego typu, a więc dążenia do powrotu na swoje oraz pragnienie uzyskania więcej, niż się miało – przy poszukiwaniu szczęścia na terenach poniemieckich i zachodnich, te dwa rodzaje emocji były co najmniej tak mobilizujące, jak demobilizujące były strachy przed podróżą. Pomijam tu oczywiście np. przymusowe migracje Polaków z ziem wschodnich, gdzie obawa i przymus naturalnie dominowały.

Po tym niewielkim rozdziałku następuje obszerniejszy, zatytułowany „Polityka strachu”. Według Marcina Zaremby strach brał się z terroru stosowanego przez reżim, aby trzymać w karchach ludność. Wprawdzie w przypisie 74 na s. 392 autor przychyliła się do określenia „konflikt mający cechy wojny domowej”, a jeśli jest wojna domowa, to

---

<sup>8</sup> Zauważmy tu, że krytycy też Hobsbawma, odnoszących się wyłącznie do dawnych czasów (przypomnę wcześniejszą pracę *Primitive Rebels*), a nie do XX w., podkreślają, że ich tradycja była romantyzowana z powodów nacjonalistycznych albo – jak u Hobsbawma – socjalnych, a rzeczywistość miała mało wspólnego z tym romantycznym wątkiem.

są dwie strony konfliktu, ale o drugiej stronie (podziemie, konspiracja?) i jej działaniach są tylko pojedyncze zdania. Oczywiście trudno stawiać na jednej płaszczyźnie system, posiadający własne państwo wraz z armią, za którym stały milionowe wojska radzieckie (do lutego 1946 r. obowiązywała nazwa: Armia Czerwona) i podziemne czy leśne formacje pozbawione poważniejszej perspektywy. Mogły one dominować tylko chwilowo i na ściśle ograniczonych terenach.

Terror, o którym autor pisze, miał swe własne dzieje (okres lubelski, po wypędzeniu Niemców z Polski, po Poczdamie, w okresie rozkwitu PSL-u, w okresie referendum, po wyborach i ucieczce Mikołajczyka itd.) i pewno różne rodzaje strachów. Natomiast rozważania, które te strachy łączą z pogromami i eksterminacją Żydów – a książka ma te właśnie sprawy przede wszystkim na uwadze – wydają mi się miejscami absurdalne, jak (s. 192) w wypadku tych dotyczących napadów na Żydów w marcu 1945 r. łączonych z ofensywą zimową Armii Czerwonej na ziemiach polskich. Poza tym autor chętnie nadaje swym wywodom walor uniwersalny, orzekając o tym, czego Polacy się wówczas bali. Pod tym względem Polska i jej społeczeństwo (czyli Polacy) były bez porównania bardziej zróżnicowane, niż wynika to z wypowiedzi autora<sup>9</sup>.

„Zmory tymczasowości” – to kolejna kolekcja strachów, którą autor przedstawia, a która zawiera różne obawy pochodzące z różnych źródeł i z różnych sytuacji. Autor stara się stworzyć z nich jednolitą konstrukcję, a ta zostaje wykorzystana w konkluzji tej książki. Opisane w tym obszernym rozdziale „zmory” wynikały z „wejścia Polski w orbitę ZSRR” (s. 408). Pozostawmy poza nawiasem refleksję, że po wojnie, okupacji, zmianach granic, wędrówkach ludów, których punktem wyjścia była przecież sama kampania wojenna i hitlerowskie wysiedlenia w latach 1939–1940, musiało występować poczucie tymczasowości. Było ono obecne nawet w krajach, które nie przeszły takiej gehenny jak Polska. Ale jakie to są zmory, które autor wymienia? Oto one w moim skróto- wym sformułowaniu: niepewność co do systemu politycznego, „ludzie na huśtawce” – w gruncie rzeczy to to samo, tyle że z uwzględnieniem chwilowych euforii wokół powrotu Mikołajczyka. „Jak przed Monachium” – właściwie znów ta sama tematyka, z uwzględnieniem „nadziei” na III wojnę światową. Autor pozwala sobie nawet na następujące zdanie: „Polacy schizofrenicznie chcieli wojny i bali się jej jednocześnie”

---

<sup>9</sup> Nie mogę nie odnotować specyficznego wrażenia, które w tych opisach strachu (i to w całej książce) wywołują liczne i stanowiące nieraz podstawę dla tez autora cytaty z opracowań osób, które wówczas czy parę lat później znalazły się po drugiej stronie strachu, o czym mi wiadomo także z własnych obserwacji. Może zresztą one właśnie były w stanie dać pogłębioną analizę strachu?!

(s. 430), a więc dość łatwo operuje kwantyfikatorem ogólnym *P o l a c y*, na co już zwracałem uwagę. Dalej następuje rozdział „Polska, ale gdzie”, oczywiście chodzi o powojenne zmiany granic. Z tej problematyki istotna rzeczywiście była niepewność na „tzw. Ziemiach Odzyskanych”. Tę niepewność Marcin Zaremba tłumaczy w innym miejscu propagandą reżimu o zakusach Niemców na te ziemie dla przekonania ludności, że to ZSRR jest gwarantem granic zachodnich. Autor jawnie ignoruje rzeczywistość tych i późniejszych lat w tym zakresie, i w jawny sposób nie dotyczy to samych strachów, ale również realnego problemu przynależności Ziemi Zachodnich do Polski.

Następne wydarzenie to wymiana pieniędzy w styczniu 1945 r., co prawda nie wiadomo, co tu do rzeczy ma tymczasowość, skoro nowa waluta umożliwiała zakupy, a młynarki (odpowiednio Reichsmarki, ruble) już wcześniej nie były przyjmowane – w tych początkowych tygodniach walutą w poważnych sprawach pozostały dolary i złote monety, nie wspominając już o wódce. To raczej późniejsze wymiany (1950) powodowały masowy upadek zaufania, bo chaos monetarny w 1945 r. był w oczywisty sposób nie do utrzymania. Autor daje ówczesnym rządcom rady, że powinny być poczekać z wymianą jakiś czas, funkcjonując wśród niekontrolowanych młynarek, rubli i marek (s. 460). Nie brzmi to wiarygodnie i historycy gospodarki są innego zdania. Ale w końcu autor podobno pisze o strachach, a nie o realnym życiu – choć z tej zadeklarowanej poetyki stale wychodzi, tak jak w tym wypadku.

Recenzent streszcza wywody autora książki, by się do nich ustosunkować, pomija natomiast zajmujące większość tego i innych rozdziałów opisy i cytaty dotyczące pomniejszych incydentów, psychoz i strachów, których autor książki zgromadził bardzo wiele i w gruncie rzeczy na każdą tezę może przytoczyć dowolną liczbę wypowiedzi ówczesnych zastraszonych, donosicieli czy autorów raportów, autorów cenzurowanych listów albo późniejszych a u t o r y t e t ó w, takich np. jak Krystyna Kersten. Rzecz jednak w sposobie selekcji tych lawinowo przytaczanych informacji. Od tego sposobu zależy wiarygodność opisu. Na ten temat można tylko snuć przypuszczenia, z natury rzeczy subiektywne.

W jednym podrozdziałku umieścił autor „kolektywizację i nacjonalizację”, określając je jako „dwie plagi”. Autor wykazuje skłonność do zgrabnych, ale i pretensjonalnych tytułów. Tu ów podwójny tytuł kryje w sobie pewne nadużycie. Kołchozy to problem realny i rzeczywisty postrach (co zresztą nie przeszkodziło ówczesnej reformie rolnej<sup>10</sup>),

---

<sup>10</sup> W tym rozdziale (s. 414) autor sugeruje za Ł. Kamińskim, że wyrazem nieufności było zwracanie czy odrzucanie przydziałów gruntu w Wielkopolsce i na Pomorzu.



ale nacjonalizacja była wówczas hasłem prawie oczywistym, i wcale nie tylko pod władzą Moskwy. Nacjonalizacja części gospodarki dokonywała się we Francji od 1944 r., w Wielkiej Brytanii od 1946 r., jak również w Austrii od 1946 r. Podobne posunięcia bądź próby wystąpiły w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec, zanim opór amerykański nie przeważał nad brytyjskimi próbami nacjonalizacji<sup>11</sup>. Zauważmy, że robotnicy większych zakładów pracy (prywatnych, bo w Polsce wielki przemysł był i tak w dużej mierze w rękach państwa) nie pragnęli powrotu przedwojennych właścicieli, często zagranicznych. Skąd więc określenie nacjonalizacji jako „plagi”? Nawet PSL nie kwestionowało nacjonalizacji, lecz tylko jej zakres. Tak więc stosunek różnych warstw społecznych do nacjonalizacji był różny, i na pewno nie robotnicy byli jej przeciwnikami. Wszędzie, także na Zachodzie Europy, na rzecz nacjonalizacji przemawiało bardzo popularne hasło „gospodarki planowej”, powstałe w okresie Wielkiego Kryzysu, który ówczesne pokolenie dobrze pamiętało, podobnie jak wieści o New Deal prezydenta Roosevelta, który początkowo przewidywał ścisłą kontrolę państwa nad przemysłem.

Pozostałe strachy w tym rozdziale to: kwaterunek, miny (te wybuchające) i bezbożnictwo. Trzeba przyznać, że ten inwentarz jest osobliwy i niespójny. Kwaterunek oczywiście napsuł ludziom krwi, ale czy to był jakiś strach? Autor zaczyna od oczywistego stwierdzenia niedoboru (delikatnie powiedziane!) powierzchni mieszkalnej po wojnie, zniszczeniach i masowych migracjach, ale kończy tak, jak mniej więcej każdy z tych rozdziałków: „Całe to odgórne zagęszczanie znacząco zągęściło powojenne poczucie lęku” (s. 488). A więc kryzys mieszkaniowy to „odgórne zagęszczanie”, nie warto chyba nad tym dyskutować. Co jednak z tym lękiem, który autor potrafi znaleźć absolutnie wszędzie? Trzeba przyznać, że miny – kolejny wyliczany problem – obok kwaterunku jako źródło rzekomego powszechnego lęku, to pomysł rzeczywiście wyjątkowy. Tu nie ma jakoś nic o winie ówczesnego reżimu, jak we wszystkich innych rozdziałkach, więc tym bardziej miny jako przedmiot powszechnej Wielkiej Trwogi można było sobie darować. Wreszcie – nieoczekiwana „Zmora bezbożnictwa” – rozdziałek, w którym nie ma w ogóle mowy o „bezbożnictwie” – chodzi przecież o czasy, gdy Bierut przysięgał na Boga, dygnitarze brali udział w procesjach Bożego Ciała i bodaj podtrzymywali ręce celebransa niosącego

---

W istocie rzeczy był to opór dawnej służby folwarcznej przed przydziałem małych parcel, które nie odbiegały od normy w b. Królestwie Polskim, ale w b. zaborze pruskim nie dawały pozycji pełnorolnego gospodarza. Zob. H. Słabek, *O społecznej historii Polski 1945–1980*, Kutno 2009, s. 78–80.

<sup>11</sup> J. Krasuski, *Historia RFN*, Warszawa 1987, s. 42–50.

Najświętszy Sakrament, a generał Świerczewski miał pogrzeb religijny! Jest natomiast mowa o wzroście objawów religijności, i to w skrajnych, niektórzy powiedzieliby: patologicznych formach. Te objawy wprzął autor również do swego rydwanu strachu, choć należałoby je skomentować z wręcz przeciwnym znakiem. W ogóle jednak te wyliczenia sprawiają dziwne wrażenie, świadczą o dążeniu do uprawdopodobnienia za wszelką cenę raz rzuconej hipotezy.

Podsumowanie tego rozdziału zatytułowano „Płynny lęk”, płynny, bo mierzony kursem dolara (czarnorynkowym). Gdyby ten ostatni wskaźnik traktować poważnie, to zmiany nie były aż tak wielkie, bo wahały się od 350 do 500 zł za dolara. Autor kończy ten rozdział jeszcze jednym zapewnieniem, że lęk był powszechny i że stwierdzali to współcześni, a na dowód cytuje Zygmunta Baumana, lecz nie z tych czasów, ale z roku... 2008.

Zbliżamy się do finału narracji autora, od ostatniego, kluczowego rozdziału poświęconego „przemocy etnicznej”, wokół którego obraca się cała recenzowana książka, dzieli nas jeszcze jeden, pt. „Trzej jeźdźcy Apokalipsy”. Autor wszędzie szuka nawet najbardziej skromnych strachów, by dołączyć je do swej Wielkiej Trwogi, jakby nie był pewien efektu dotychczasowych rozważań. W Apokalipsie św. Jana mowa o czterech jeźdźcach (6, 1–8), czyli jeden jeszcze nośnik strachu byłby do wykorzystania. W tym rozdziale autor rozpatruje głód, drożyznę i choroby zakaźne. Są to trzy nieudane wywody. Spójrzmy na powoływane źródła, mające świadczyć o powszechnym głodzie – to relacje ze strefy, przez którą dopiero co przeszedł front, więc o jakichkolwiek regularnych dostawach mowy być w tym czasie i tuż po nim nie mogło. Do tego doszły komplikacje z walutą (wymiana pieniędzy). Poza tym sytuacja zaopatrzeniowa i żywnościowa dochodziła do normy, na co potrzeba było pewnego czasu. Oczywiście były tereny szczególnie zniszczone i оголоcone, zwłaszcza przyczółkowe, i tam położenie pozostałej na miejscu ludności było rzeczywiście krytyczne.

Trzeba, rzecz jasna, dobrze rozumieć ówczesny poziom życia. Było ono bardzo skromne i siermiężne. Było skromne przed wojną, jeśli chodzi o standard życia szerokich mas ludności, a co dopiero po potwornej wojnie, okupacji niemieckiej, przejściu frontów itd. itp. O niedostatku i głodzie można mówić tylko w relacji do ówczesnych standardów. Sam autor narzeka, że z trudem znajduje wynurzenia na temat głodu: „Tylko w prywatnej korespondencji można odnaleźć ślady strachu przed śmiercią głodową” (s. 522). Ówczesną (ale ta bardzo się zmieniała w czasie) sytuację można było określić jako występujące nieraz braki w zaopatrzeniu, niedostatek, lokalne trudności, przerwy w dostawach,

przejściowy brak realizacji przydziałów kartkowych, ale generalne twierdzenie, że panował głód i ludzie umierali z głodu, jest po prostu nieprawdziwe. Autor dzięki niejasnej formule swej pracy może łatwo zmieniać poetykę, przechodzić od głodu do strachu przed głodem, a to nie jest to samo. Zasadnicza masa ludności odczuła pod tym względem (po kilkutygodniowym, niekiedy dłuższym okresie po przejściu frontu) skromną, ale wyraźną poprawę po okupacji niemieckiej. Już samo kupowanie żywności zmieniło się w zwyczajną czynność, gdy w czasie okupacji było właściwie w ogromnej większości nielegalne i w zależności od szczęścia można było za kawałek słoniny wylądować w obozie. Jeśli chodzi o tereny pozostające do ofensywy styczniowej pod władzą niemiecką, to okupanci zgromadzili spore zapasy, które ułatwiały przetrwanie. Np. we Wrocławiu, który został zajęty 6 maja, zapasy te starczyły dla ludności niemieckiej i pierwszych wrocławskich Polaków aż do września, kiedy zaczęły się dostawy z innych źródeł<sup>12</sup>. Po pewnym czasie (od lipca 1945 r., dostawy szły drogą morską) rozpoczęła się pomoc UNRRA, która odegrała wielką rolę, ułatwiając przetrwanie ludności w okresie tuż po wojnie. Polska otrzymała towary wartości prawie pół miliarda (ówczesnych!) dolarów. Były więc niedostatki, ale głód, który powodował *trwogę*, to po prostu konstrukcja autora.

Pod koniec tego rozdziału autor omawia wpływ „zachowań głodowych”, które wówczas dostrzega, na konflikty etniczne – jest to jakby przygotowanie artyleryjskie do następnego rozdziału, bo okazuje się, że głód skłaniał do pogromów (s. 552) – teza nie mniej wątpliwa niż podobne uwagi w poprzednio omówionych rozdziałach<sup>13</sup>.

Drugim nieudanym strachem jest drożyzna. Jeszcze raz recenzent stoi na niepewnym gruncie, bo autor w każdej chwili może schować się za strachem, który opisuje, a który nie musi odbijać realnego stanu rzeczy. Powstaje pytanie, czy w ogóle warto odczytywać obraz, który autor przedstawia, jako odbicie rzeczywistości. Pod koniec tekstu autor chyba uświadomił sobie dystans między prawdziwym obrazem rzeczy a opisywaną przez siebie *Wielką Trwogą*, czego nie spostrzegamy w poprzedniej, ogromnej większości tekstu. W tym podrozdziałku nie ma żadnych dowodów na rzeczywistą drożyznę, choć ceny istotnie rosły. Wskaźnik cen od kwietnia 1945 r. do grudnia 1947 r. wzrósł o połowę (153.1 punktu), ale dla żywności i używek tylko o 13.2 punktu, a dla

<sup>12</sup> M. Ordyłowski, *Życie codzienne we Wrocławiu 1945–1948*, Wrocław 1991, s. 76 n.

<sup>13</sup> Oczywiście nie można wykluczyć wpływu przekonania, że Żydzi otrzymują specjalne przydziały, pomoc i przywileje, zresztą dotyczyło to także ludzi władzy, którzy poruszali się „demokratkami” – jak nazywano służbowe chevrolety.

wyrobów przemysłowych o 92.9 punktu. Dla podejrzliwych dodam, że uwzględnia on także ceny wolnorynkowe<sup>14</sup>.

Autor nie przepuścił też morowi – tradycyjnemu składnikowi Apokalipsy. Z braku miejsca odwołam się tylko do zacytowanego wyżej tekstu Andrzeja Paczkowskiego, w którym podkreślono postęp w dziedzinie zdrowotności – dodam, że dzięki znacznej pomocy zagranicznej, w tym skandynawskiej. Każdy ówczesny uczeń szkolny pamięta pierwsze w naszej części Europy działania na rzecz eliminacji zakażeń gruźliczych – badania i szczepienia. Ograniczę się do stwierdzenia, że i w tej dziedzinie sytuacja przedstawiała się raczej odwrotnie, niż sugeruje to autor. Prawda, że szczepienia wywoływały zawsze strach nimi „dotkniętych” (wiemy skądinąd, że zjawisko to istnieje nadal), ale to trochę inne strachy niż konstruowane w omawianej książce.

Wreszcie docieramy do ostatniego rozdziału, któremu bodaj podporządkowano konstrukcję całej książki („Fobie i przemoc etniczna”). I oto zdziwienie: całe instrumentarium często sztucznie rozdmuchanych strachów, których pełne były poprzednie rozdziały, tu się okazuje mało przydatne. Ten rozdział mógłby funkcjonować i bez nich. Autor opisuje rozpalone do czerwoności nienawiści etniczne czy etniczno-plemienne, które chwilami mogły się bez przeszkód wyładowywać w przemocy wobec Niemców, we wzajemnej już przemocy Polaków i Ukraińców (ale rzeź wołyńska i inne mordy z lat 1943–1944 wychodzą poza zakres chronologiczny i terytorialny tematu) i wobec Żydów. Te wydarzenia wywoływały obawy, strach i panikę przede wszystkim ludzi tym dotkniętych oraz potencjalnych ofiar, wywoływały też chęć nie tylko przeciwdziałania, ale i zemsty. Nienawiść etniczna, która dotknęła Żydów, miała oczywiście swą długą historię. To wszystko nie wymaga żadnej Wielkiej Trwogi. Częściowo wszystko to autor porządkuje na s. 618, pisząc o niesamowitym rozjątrzeniu i wzmocnieniu nacjonalizmu w wyniku II wojny światowej (dodajmy, że poprzednie dziesięciolecia do tego prowadziły w całej Europie, a zwłaszcza Europie Środkowo-Wschodniej). Marcin Zaremba wymienia „agresję i złość” jako wynik zaostrzenia nacjonalizmu, a nie jakiś strach czy lęk (tamże). Opis mechanizmu prowadzącego do pogromów można w ogólnych zarysach przyjąć. Nie widać w nim niczego dotąd nieznanego. Większe wątpliwości budzi obszernie omówienie od dawna obecnego motywu „mordu rytualnego” jako czynnika wyzwalającego

---

<sup>14</sup> H. Jędruszczak, *Miasta i przemysł w okresie odbudowy*, w: *Polska Ludowa 1944–1950. Przemiany społeczne*, red. F. Ryszka, Wrocław 1974, s. 306, tabl. III.

pogromy, do którego łatwo dopasować właśnie strach i wręcz psychozę. Rola tego czynnika, choć o nim sporo w źródłach, nie była chyba większa niż we wcześniejszych dziewiętnastowiecznych i dwudziestowiecznych pogromach żydowskich, albo odbiegała od nich nieznacznie. Natomiast zdecydowanie za mało czytamy tu o wpływie hitlerowskiej propagandy z lat wojny oraz działalności pravicowych, a zwłaszcza skrajnie pravicowych ugrupowań polskich przed 1939 r., a także w czasie wojny i po 1944 r.

Tak jak zaskoczeniem jest ostatni, wydawałoby się kluczowy rozdział książki, tak rozczarowanie budzi zakończenie, w którym czytelnik spodziewa się znaleźć wnioski z badań, znajduje jednak kilka ogólnikowych twierdzeń i ubolewanie, za Krystyną Kersten (s. 626), że wszechobejmujący rzekomo strach z lat 1944–1947 nie znajduje odbicia w pamięci społecznej. W niniejszym tekście starałem się ten stan rzeczy wyjaśnić.

Trudno nie zauważyć, że przygotowując tę książkę, autor włożył wiele pracy w zapoznanie się ze źródłami różnego rodzaju, które w połączeniu z pominiętymi wystarczyłyby do opracowania mniej lub bardziej obiektywnej konstrukcji historycznej o latach 1944–1947. Dorobek ten został wykorzystany tak jednostronnie, że wywołuje to sprzeciw, ale i rodzi żal z powodu zmarnowanej okazji. W istocie rzeczy koncepcja, która *Wielką Trwogą* wyjaśnia pogromy i do tego mniej więcej ogranicza historię tych lat, jest nie tylko niewiarygodna, ale powoduje całkowite wypaczenie obrazu. Bo przecież pogromy i rozrachunki etniczne wszelkiego typu nie stanowiły ani jedynej, ani głównej osi ówczesnych wydarzeń, choć niewątpliwie były czarną chmurą na ówczesnym horyzoncie. Te lata to czasy nie jakiejś *Wielkiej Trwogi*, ale czasy nadziei i rozczarowania. Uwolnienie Polski od Niemców i od groźby zagłady z rąk hitlerowców otworzyło przestrzeń nadziei na powrót do pokoju i do normalnego życia, może kiedyś, za jakiś czas, lepszego niż przed wojną. Sądzę, że bardzo znaczna część ludności Polski takie nadzieje na początku żywiła. Bo przecież przeważająca wówczas ludność chłopska spodziewała się (chyba w większości), że reforma rolna i możliwości osiedleńcze na Zachodzie to tylko początek korzystnych zmian. W ocalonych wielkich zakładach pracy, poza ogniskami przejściowego bezrobocia, można było znaleźć zatrudnienie, i nie na zasadach niewolniczych, jak za Niemców. Młodzież mogła iść do szkoły i do już dość licznych szkół wyższych. To po stronie nadziei. A po stronie rozczarowania i sprzeciwu – ludzie państwa podziemnego (ale przecież nie wszyscy!), znaczna część inteligencji, ale trudna do zdefiniowania, ludzie zwią-

zani z przedwojennymi stronnictwami politycznymi, zwłaszcza pravicowymi, lecz właśnie wśród narodowców, a więc na prawicy, przesunięcie Polski na zachód i „tzw. Ziemie Odzyskane” budziły poważne nadzieje. Dalej oczywiście konspiracja (przede wszystkim skrajnie pravicowa i faszystująca), wkrótce repatrianci ze Wschodu (niektóre, mniej zastraszone, grupy i jednostki<sup>15</sup>), studenci (większość) i liczne inne środowiska, przy czym jednak znaczna część ludzi bardziej rozbudowanych i wykształconych na razie przypatrywała się nowym instytucjom o nazwach tak bliskich przedwojennym, choć od razu rzuciły się w oczy szczególnie rola PPR i różne złowrogi struktury, z UB na czele. Trzeba by zbilansować te odczucia na początku i przy końcu omawianego okresu. Byłoby to bardzo ciekawe, ale wymaga odrębnej pracy. Niepokój, strach, obawa, lęk pojawiły się w masowej skali w okresie następnym, wraz ze stalinizacją, obejmując znaczną część tych, którzy w omawiany okres wkroczyli z nadzieją. Były to już jednak zupełnie inne strachy i lęki, niestety bardziej realne.

Autor mnoży strachy, rozdyma ich zasięg i znaczenie, obok prawdziwych wymienia sztucznie stworzone, nigdzie jednak nie udowodnił, że kumulowały się one, tworząc Wielką Trwogę. Pomijając wspomniany już fakt, że strachy łączą się z niezliczonymi innymi emocjami i rzadko występują samodzielnie jako jedyny motyw postaw i działań, trzeba zauważyć, że tylko pod piórem autora wszystkie te strachy miały jednakowy znak. W rzeczywistości miały one znaki różne, częściowo znosząc się wzajemnie, częściowo funkcjonując na różnych płaszczyznach. Dlatego tytułowe zjawisko nosi charakter sztucznej konstrukcji.

Na wartości recenzowanej tu książki negatywnie odbiły się z góry przyjęte subiektywne założenia. Poszczególne rozdziały ilustrują i roz-

---

<sup>15</sup> Większość przesiedleńców z zachodnich republik ZSRR przybyła do Polski jeszcze w 1945 r. Zob. K. Kersten, *Kształtowanie się stosunków ludnościowych*, w: *Polska Ludowa 1944–1950...*, s. 130, tabl. VIII. Natomiast repatriacja obywateli polskich z ZSRR poza przesiedleniami transgranicznymi została uregulowana dopiero umową z 6 VII 1945 r. i główna część tych, którym pozwolono wyjechać do Polski albo zmuszono do tego, przybyła w 1946 r. (tamże, s. 113, tabl. V). Jeśli wspominam o tych kategoriach w kontekście strony rozczarowanej, a nie pełnej nadziei w stosunku do nowych porządków, to zwracam także uwagę na masowe zastraszanie ludności polskiej przybywającej z ZSRR, które powodowało obawy przed mieszaniami się do jakichkolwiek działań w płaszczyźnie społecznej, nie mówiąc już o politycznej, a nawet przed głośnym wypowiedaniem się w tych sprawach wobec obcych. Mieszkając w latach 1947–1950 w Domu Młodzieży „Nasz Dom” na Bielanych, którego podstawową populację stanowiły osierocone dzieci zesłańców polskich z lat 1940–1941, uratowane od zagłady na terenie ZSRR i początkowo zbierane w Zagorsku pod Moskwą (dziś Siergiejew Posad), mogłem zauważyć wiele takich zachowań.

wijają te założenia, którym też podporządkowano obraz rzeczywistości. Autor ustawił się w pozycji badacza strachów, ale prawie na każdej stronie ją opuszcza i orzeka o rzeczywistości. Czyni to bardzo często plastycznie i z talentem oraz odwołuje się do wiarygodnych informacji. Całość odczytanego z jego książki obrazu w wielu miejscach musi jednak zostać zakwestionowana. Autor, nieraz relacjonując rzeczywiste i naturalne obawy ówczesnych Polaków, nie udowodnił istnienia *Wielkiej Trwogi*, jakiegoś uogólnionego, apokaliptycznego strachu/lęku, co miało być podstawową, prawie wszystko tłumaczącą konkluzją opracowania.